

Przeciw tyranii porządku.

O prozie Bronisława Świderskiego

Jerzy Borowczyk

Nośniki poplątanych znaczeń

Oto trzy pierwsze zdania publikowanej w tym numerze naszego pisma *Nowej wieży Babel* Bronisława Świderskiego:

„Od chwili przybycia do Kopenhagi, B. skarżył się na żydowskiego Boga swojej matki.

Ów Bóg nie chciał zgody między ludźmi.

Jedynie na samym początku było dobrze”.

Jeśli ktoś czytał albo choć zaczął czytać dwie poprzednie powieści (*Nowa wieża Babel* bowiem stanowi ogniwo powieści najnowszej) Świderskiego, uświadomi sobie od razu, że zaczyna się ta proza tak samo jak tamte książki. Zarówno w *Słowach obcego* (1998), jak i w *Asystencie śmierci* (2007) w pierwszych akapitach mamy bliźniacze sytuacje – oto na duńskiej ziemi, na kopenhaskim bruku stanął właśnie (albo stoi już od pewnego czasu) przybysz. W narracji o nim – w każdej z powieści – szybko pobrzmiewają tonacja i pojęcia z *Księgi Rodzaju*. Ma to wiele poważnych i mocno z sobą posplatanych, a nawet poplątanych znaczeń. Spróbuję przybliżyć choć część z nich:

- Bycie cudzoziemcem. Narodowość i obcość.
- Samotność i wspólnota. Przyjaźń i zdrada.
- Poprawność i błąd (nie tylko językowe). Mówienie i milczenie.

I jeszcze jedno: jak Świderski konstruuje swoje opowieści, by stały się one oryginalnymi i pojemnymi nośnikami wszystkich tych kwestii. Do rozpatrzenia tych kwestii sprowokował mnie fragment/opowiadanie o nowej wieży Babel. Ten utwór skłonił do wertowania na nowo ulubionych (i ciągle zaskakujących, a nawet irytujących) rozdziałów w *Słowach obcego* i w *Asystencie śmierci*. Ciągłe nurtuje mnie wieloznaczność i plątanina znaczeń jako źródło narracyjnej energii i wieloprotblemowej pojemności prozy Świderskiego.

„Inni już są, a mnie jeszcze nie ma”

B. z *Nowej wieży Babel* swoje pretensje i żale adresuje podwójnie – do matki i do jej żydowskiego Boga. Nie wiadomo do końca, która z awersji jest silniejsza. Czy żal do matki, bo wierzyła, dalej: że wyznawała takiego, a nie innego Boga, wreszcie, że pokazała i przekazywała bohaterowi opowieści taki obraz Stwórcy. Czy też dominują tu pretensje do samego Boga, który nie chce zgody między ludźmi. Pewnie jedno i drugie, i trzecie, i kolejne. Wszystko naraz. A do tego jeszcze sytuacja obcości, bycia w innym, niezrozumiałym świecie, który trzeba sobie jakoś poustawić, skoro nie ma szans, by go (przynajmniej na razie) zrozumieć.

U Świderskiego poczucie obcości, znalezienie się – zazwyczaj bezwolne – w zupełnie nowym otoczeniu skutkują szczególnym porażeniem umysłowym i językowym. B. z *Nowej wieży Babel*, emigranci w *Słowach obcego* (Polak B.; obcy przybysz; Polka wychowująca duńskie dziecko i związana z obcym jej Duńczykiem; rosyjskie małżeństwo z dzieckiem i jeszcze wielu innych), a w powieści *Asystent śmierci*: Bronisław Świderski i znajdujący się w śpiączce obcokrajowiec (być może Polak), którym się opiekuje w hospicjum – wszyscy ci bohaterowie nie tkwią biernie w swej kondycji wygnanych, obcych, odstających językowo i cywilizacyjnie od mieszkańców Danii i Kopenhagi, ale usiłują brać sprawy w swoje ręce. Okazuje się, że bez znajomości języka nic zdziałać nie mogą, a jego nauka i zapoznanie się z duńskim życiem niewiele tu wnoszą. Szybciej od przyswajania sobie mowy i pisma oraz od wdrażania się w reguły społeczne biegnie proces naznaczania i marginalizowania przybyszów przez rdzennych mieszkańców.

Obcy z pierwszej powieści, główny bohater *Asystenta śmierci* oraz B. z historii o nowej wieży Babel – wszyscy oni układają swoją Księgę Genesis. Dzięki temu chwytowi Świderski od pierwszych stron osiąga efekt wielopłaszczyznowości snutej opowieści, która jest próbą zmierzenia się z oporną materią obcego świata. Trzeba go nazwać, opisać, poznać, znaleźć w nim miejsce dla siebie. Tak postępuje każdy przybysz, tak uczyniono w pierwszej księdze biblijnej.

Artystyczną grę wielością dobrze widać w pierwszym rozdziale *Słów obcego*, zatytułowanym *Seks*. Już w tytule pisarz rozpiął sieć możliwości. Poza kontekstem erotycznym w grę wchodzi znaczenie nie mniej elementarne – po duńsku słowo to oznacza cyfrę sześć. Ta z kolei prowadzi ku konceptowi sześciu dni stworzenia z biblijnego poematu otwierającego Księgę Rodzaju. Dzień szósty jest także pierwszym punktem zwrotnym w losach przybysza, sporządzającego swoje genesis w formie raportu, na który składa się spis czynności na nowej ziemi, a także refleksji utkanych z wielopoziomowych odwołań do początkowych rozdziałów Biblii.

+

Cóż było na początku tej relacji? Zwątpienie przybysza – w dekoracjach kopenhaskiego dworca kolejowego – we własną rację. Stało się tak na skutek witającego go w imieniu gospodarzy człowieka (zapewne policjanta), który zainicjował jedną z najbardziej rutynowych i zarazem najboleśniejszych procedur w prozie Świderskiego – „żmudne badanie tożsamości. Miał prawo do zadawania pytań. Racja żyła w jego głosie z taką oczywistością, że przybysz nagle zwątpił w swoją”. Ta sytuacja to paradygmat całego pierwszego rozdziału, ale również pierwszej i kolejnych powieści Świderskiego. Konieczność poruszania się i samookreślenia w sytuacji przymusu, przemocy, nacisku, wytrącenia z własnych kolein, pozbawienia elementarnych praw. A wszystko to robi się w białych rękawiczkach szlachetnej, starej zachodnio-europejskiej demokracji.

Inicjalne pozbawienie racji stało się kołem zamachowym wielkiego poszukiwania sensu przez przybysza ze *Słów obcego*. Zadaje on pytania o status „ja”, o relację między myśleniem o sobie a sensem i skutkiem boskiej kreacji. Postanawia, że „od jutra zacznie tworzyć siebie i swój świat” i będzie to robił „Sam. Solidnie”. Nie zwolniło go to z konieczności nauki duńskiego, zmagania się z literami i ich „suchą architekturą racji”, która ma nijak się do „nie-trwałej wilgoci emocji”. Im dłużej to wszystko trwało, tym więcej przybywało paradoksów („Był niewolnikiem, któremu nałożono obowiązki człowieka wolnego”) i skomplikowanych relacji z innymi ludźmi, a zwłaszcza z – jak na opowieść opartą na aluzjach do biblijnej księgi o początku przysłało - kobietą. Miała na imię T. i była jego duńską Ewą. Miała być przewodniczką po kopenhaskich ulicach i wnętrzach, po świecie skazującym na obcość, na bolesne samopoznanie, które zawarł w słowach: „inni już są, a mnie jeszcze nie ma”. T./Ewa miała też ojca, który jako pastor chętnie wchodził w rolę nieomylnego egzegety aktu stwórczego, postrzegając go jako działanie pozbawione miłości. Mówił raczej o serii nakazów i przymusów – z obowiązkiem rozmnażania się na czele. Kobieta złączy się jednak z przybyszem w akcie seksualnym, ale potem posłucha ojca nakazującego aborcję. Przybysz zaś będzie niezmiernie szukał sposobów na wykiwanie języka, który „był chytry jak rajski wąż”. Odkrył po tych sześciu dniach, że zadanie miłości może rozwiązać tylko ten, „kto zrezygnuje z rodziny oraz ze zgody z Bogiem i z ludźmi. Ten, kto ośmieli się szukać na własną rękę. Kto początek umieści w przyszłości. Ten, kto wymyśli inne słowa”. Postulat radykalnego wyjścia z sieci uwikłań, zabezpieczeń, które zamykają drogę do samostanowienia. Czyż do podobnej konkluzji nie dociera B. z *Nowej wieży Babel*? Bo przecież i on usiłuje się odnaleźć w nowych, obcych strukturach, respektując tubylcze reguły gry: „od pierwszego dnia emigracji B. zupełnie nie rozumiał Duńczyków. Nie pomogło nawet, gdy dla przyspieszenia procesu asymilacji zaczął czytać luterzańską Biblię, w której znalazł przytoczone cytaty”. Nie pomogło studiowanie międzyludzkiej komunikacji na kopenhaskiej

socjologii. Nie pomagały mu również ściany protestanckiego akademika. Nie tylko jemu. Okazały się murami jeszcze jednej wieży Babel, miejscem rozdziału małżeństwa Dunki i Somalijczyka, a także siedzibą singli, uciekających się w podstawowych sytuacjach życiowych do języka angielskiego, który nie miał wszakże żadnych szans na osiągnięcie statusu narzecza zgody i ludzkiego współistnienia.

Człowiek Świderskiego nie poprzestaje jednak nigdy na skardze i/lub kontestacji. Uparcie szuka dalej. Na poły robi to z własnej woli, na poły jest do tego zmuszony przez otoczenie, w którym inni, ich racje i niezrozumiałe słowa już są. Polak B. z *Nowej wieży Babel* mimowolnie przechodzi od stanu rozżalenia na Tego, który pomieszał języki, do działania, do opieki nad bezbronnym i niemówiącym jeszcze malcem. Przewijanie chłopca bez imienia i wspólne wznoszenie z nim wieży z klocków Lego (jesteśmy blisko słowa Logos...) nie wymaga słów, obywa się bez używania imion. Zupełnie jak w *Słowach obcego*, w rozdziale o Polce, która sprowadzona do Danii przez swego ukochanego i zaraz po przybyciu przezeń porzucona, przyjmuje za swych najbliższych pewnego Duńczyka i jego dziecko, z którymi szybko – z każdym inaczej – nawiązuje bliską więź. To ona wypowiada jedną z możliwych puent genesis Świderskiego:

„Bo to po ludzku sprawiedliwe, by po stracie niewiernego przyjaciela otrzymać nowego kochanka. Ale prawdziwa sprawiedliwość była w tym, że byliśmy całkowicie równi wobec siebie. Tak, tutaj, w jego kraju, w jego mieszkaniu, nie miał żadnej przewagi nade mną. Czułam, że jestem jedyną kobietą na świecie, której było dane to przeżyć”.

Powtarzam: to tylko jedna z puent. Inna znajduje się na końcu *Nowej wieży Babel* i brzmi: „Bóg zrobi, co zechce”. Nie tyle Go nie ma, ile jest nie(roz)poznawalny, niedocieczony. Jeszcze inny mocny akord finalny pada pod koniec *Słów obcego*. Znajdujemy go w liście przybysza do duńskiej monarchii: „Milczenie – oto najbardziej ludzki środek komunikacji”. Oto azyl w obliczu panowania i panoszenia się „bałwochwalców słowa”, posiadaczy racji.

Demoniczna siła: indywidualność

W *Nowej wieży Babel* znów dochodzi do głosu pewna stała skłonność, a może nawet dyspozycja bohaterów Świderskiego – niestrudzone, namolne, czasami obsesyjne myślenie, analizowanie, interpretowanie swego statusu emigranta, innego, obcego. Chce podkreślić współwystępowanie tej potrzeby zrozumienia i wyjaśnienia swego położenia z pragnieniem jego artykulacji, a nawet z rozpaczliwym głodem bycia wysłuchanym. To jeden z powodów skarg na żydowskiego Boga i mąciela języków, to przede wszystkim fundament +

powieściowego wehikułu w *Asystencie śmierci*. Koncept rozmowy bohatera i narratora (nosi imię i nazwisko autora) ze znajdującym się w śpiączce pacjentem hospicjum jest sugestywny i myślowo oraz estetycznie nośny. Polak mieszkający w Kopenhadze może sobie gadać do woli, a gdy znudzi mu się brak odzewu ze strony Leżącego, to po zadaniu pytania wskoczy do jego łóżka i wypowie za niego odpowiedź, która pozwoli ożywić, podtrzymać kontakt.

Pod koniec powieści Opiekun mówi do Leżącego: „dla każdego człowieka najgorszą rzeczą jest bycie cudzoziemcem”. Celowo konstatuje się to w sposób tak prosty, a może nawet prostacki. Bo to jest metoda Świderskiego: rzucić kilka zdań opisujących dyskomfort bohatera albo odnoszących się do jakichś wydarzeń politycznych czy też dzieł kultury, a potem zacząć solidną i drobiazgową obróbkę analityczno-słowną. Tak samo się dzieje z przytoczonym stwierdzeniem o statusie społecznym i egzystencjalnym cudzoziemca. Dalej pojawiają się odwołania do Biblii – do Hioba, który czuje się obco-krajowcem wśród swoich, a nade wszystko do Księgi Sędziów i słynnego szyboletu. Sibbolet/Szibbolet – pierwszą artykulacją mogła kosztować życie, druga była – z punktu widzenia Gileadczyków – poprawna i stanowiła przepustkę do normalnej egzystencji. Szybolet staje się dla Świderskiego figurą opresji cudzoziemca, hasłem wywoławczym wszystkich nurtujących tego pisarza problemów. No i wreszcie jest rozrusznikiem oryginalnych rozważań. W *Asystencie śmierci* pielęgniarz-narrator mówi Śpiącemu jakby w sekrecie: „Jestem pewien, że niejedyn Gileadczyk, upewniwszy się, że jest zupełnie sam, szeptał w stronę ciemnego nieba: Sibbolet. Albowiem mówiąc bezbłędnie, stawał się kopią innych. Jedynie w błędzie była demoniczna, różniąca go od swoich i wiążąca z innymi, siła: indywidualność”. Takim szyboletem jest każde pojedyncze życie, każdy akt pisarski – tak rozumiem jedno z przesłań *Asystenta śmierci* i w ogóle powieściopisarstwa Świderskiego. Przywilej jednostki: prawo do błędu, pomyłki, które bywają skutkami szukania na własną rękę, czyli po prostu doświadczenia, bycia. Atrybut pisarza: status cudzoziemca, przybysza, kogoś kto tworzy w nieustannym dyskomforcie. Kto wie, czy w końcu nie jest tak, że doświadczenie cudzoziemca to przywilej. Nigdy nie straci jednak gorzkiego posmaku, przy czym gorycz często jest znakiem rozpoznawalnym wartościowego, podmiototwórczego doświadczenia.

Równoważyć władzę (polityczną)

W zakończeniu rozdziału *Szybolet* bohater opowiada o utracie duńskiego przyjaciela, z którym poróżniła go właśnie „niewielka różnica w wymowie”. Utraty przyjaciół, zdrady, porzucenia to istotne składniki *Asystenta śmierci*, a wcześniej także *Słów obcego* czy mało znanego debiutu prozatorskiego Świderskiego (dokładniej: Jana i Bronisława Świderskich) pod tytułem *Autobio-*

grafie, prowokacyjnie zresztą przywoływanego i autoanalizowanego w *Asystencie śmierci*. Wszystkie te pierwiastki dotyczą relacji jednostki z drugim człowiekiem, niemożności porozumienia, tego więc, co dochodzi do głosu także w *Nowej wieży Babel*, a co w powieści z 2007 roku stanowi podwalinę rozważań o znaczeniach i artystycznej randze autobiografii.

Warto przytoczyć sąd niezwykle, a wypowiedziany właśnie w *Powieści o kariaturach Mahometa, o miłości i nienawiści w Europie*: „Podoba mi się myśl, że literatura równoważy siłę władzy. Przecież sam, w tej chwili, piszę autobiografię. Rozważam, czym ona jest i co może”. Okazuje się, że może bardzo wiele, bo nigdy nie jest własnością jednostki i zawsze dotyczy „zasad życia społecznego”. To bardzo ważna obserwacja na gruncie polskiej kultury i cywilizacji, bo odsuwa na bok mesjanistyczno-romantyczny punkt widzenia, wedle którego prorok-medium dyktował wspólnocie reguły postępowania oraz przedkładał jej do kultywowania jedynie słuszne racje narodowe. Świderski podchodzi do romantyczno-polskiej schedy inaczej niż ci, którzy po 1989 roku egzorcyzmowali z polskiej przestrzeni literackiej pozostałości kanonu polskości, coraz bardziej przypominającego skansen, a niektórym kojarzącego się – prawem artystycznej hiperboli i prowokacji – z ogrodem koncentracyjnym. Otóż autor *Słów obcego* nie ucieka od doświadczeń zbiorowych i życia publicznego. Dyskontuje je jednak na użytek własnych poszukiwań pisarskich. Autobiografia okazuje się w takim układzie gatunkiem największych możliwości. Także dlatego, że pozwala Świderskiemu podjąć namysł nad kwestią w jego prozie ciągle otwartą i może najbardziej bolesną – nad splotem przyjaźni i zdrady jako skutków relacji „ja” z drugim człowiekiem na tle burzliwych przemian politycznych. Nikt z polskich pisarzy nie dokonał tak głębokiego, filozoficznego i socjologicznego przemyślenia i artystycznego przetworzenia Marca 1968. Wystarczy przytoczyć dwa zdania z *Asystenta śmierci*: „Miałem przyjaciela, który w Marcu '68 wydał mnie tajnej milicji i sędziom. [...] W 1968 roku zobaczyłem, że jednostka rodzi się ze zdrady”.

Skąd konstatacja w drugim zdaniu? Stąd, że nie potrafi się wybaczyć zdrajcy, ponieważ z gigantyczną mocą pragnie się jego bliskości i akceptacji. To zaś musi się prędzej czy później przyczynić do rozpadu przyjacielskiej relacji. I wcale nie chodzi tutaj o usprawiedliwianie kogokolwiek. Chodzi o to, że rolę zdradzonego nie jest wydawanie wyroku, ale – tak to przynajmniej widzi Świderski i jego bohater – zrozumienie tego, co się stało. Analizowanie. Chodzi o to, by nie porzucać rozmyślań nad wieżą Babel każdego człowieka i wspólnoty, by nie zapominać, że zgoda i jedność nie są naszą mocną stroną. Zawsze pozostanie w każdym indywiduum nieredukowalne złoże obcości, odmienności. Nie zwalnia go to jednak z prób wyjaśniania, dociekania, nieustannego opierania się tyranii początku. Szukania własnego punktu startu. • +